

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie 6,50 fen. (za odnośnienie do domu dopłaca się 25 fenig. kwartalnie), z przesyłką pocztową kwartalnie 7,50 fen.

OGŁOSZENIA: wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście 2½ mark.; na 1 stronie okładki 1 mark. 50 fenig.; na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem 75 fenig.; na 3-ej stronie okładki 65 fenig. Kronika towarzyska, Nekrologi, Nadesłane po 1 mark. 90 fen. za wiersz. Marginesy: na 1-ej stronie okładki 25 m., przy Nadesłanych 20 m.; na ostatniej stronie okładki 17 m. 50 fenig. i wewnątrz 15 marek.

Artykuły reklamowe 437 marek 50 fenigów za stronę.
Załączniki zwykłe po 25 marek od tysiąca.

Adres Redakcyi: WARSZAWA, SZPITALNA 12,
Administracyi: Krakowskie - Przedmieście 66.
FILIA W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń
„PROMIEN”, Piotrkowska № 81.

ŚWIAT

Rok XII. № 50 z dnia 15 grudnia 1917.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.



TOW. AKC.

BRACIA JABŁKOWSCY

BRACKA 25

POLECA:

WELNY,
DAWELNY,
JEDWABIE,

BIELIZNĘ I GALANTERJĘ:

DAMSKA,
MĘSKA,
DZIECIĘCA.

WYPRAWY ŚLUBNE od 1000 MK.

OKRYCIA
BEKIESZE
KOSTYMY
SUKNIĘ
BLUZY

SUKIENKI DLA PANIEK - UPRANKA DLA CHŁOPCÓW - BEKIESZE I PALTOTA DLA PANÓW

OBUWIE:
DAMSKIE I
DZIECIĘCE.

10444

W pięćdziesiątą rocznicę śmierci.

Grottger był pierwszym w czasie z pośród wielkich polskich plastyków. Ledwo Klaczko wypowiedział swój słynny a błędny sąd o niezdolności duszy polskiej. — potężnej w liryzmie poetyckim, patetycznej głęboko w odzie, wspaniałej w dramacie i e-popei, — do prawdziwego malarstwa, rzeźby, architektury, młody Polak o obcym nazwisku, nawskroś narodowy w swej sztuce, zaczął zbierać laury na polu międzynarodowego uznania.

Miał Grottger tę szansę, że wcześniej się na nim poznano.

I że mu poparcia nie poskapiono.

Bawarczyk, oficer, bawiący we Lwowie, hr. Pappenheim, uderzony jest kompozycją czternastoletniego chłopca, wystawioną w oknie handlar-skim. I zaraz ofiaruje się z pomocą. Magnat węgierski, hr. Pallfy, zawozi później Grottgera do Wenecji, aby go z arcydziełami włoskiej sztuki zetknąć. I potężniejszego jeszcze protektora znajduje: cesarz Franciszek Józef, uderzony genjuszem młodego adepta, przyznaje mu stałą pensję na studia w Akademii.

Zaczyna Grottger, jako malarz. Rozciera farby na palecie i zмага się z trudnościami kolorystyki. Ale na wystawie monachijskiej uderza go cykl ilustracji do bajki „O siedmiu krukach”. I nasz poeta czuje, że swoją drogę znalazł.

Odtąd tworzy kartony.

Odtąd daje cykle.



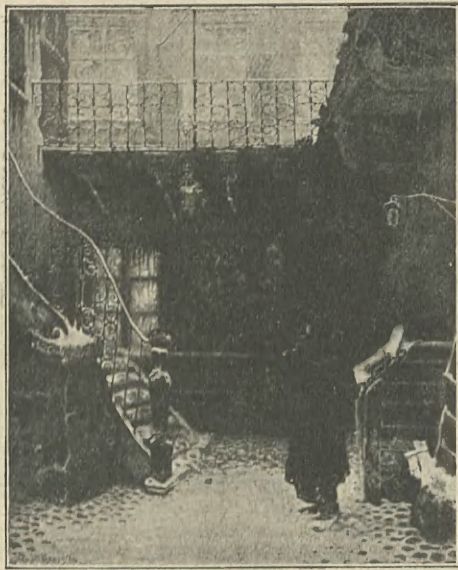
Artur Grottger.

Tak powstają nieśmiertelne dramaty, którym dwa najpospolitsze i najmniej efektowne tony: biały i czarny, wystarczą do wyrażania najgłębszych uczuć i wywoływania najpotężniejszych wstrząśnień.

Sztuka polska wstępuje w prawa obywatelskie historii powszechnej kunsztów arcydziełami: „Szkoła polskiego szlachcica”, — „Warszawa”, — „Połonia”, — „Lituanja”, — „Wojna”.

Cykl każdy rozwija się przed oczami widza, niby tragedia; obraz działa niby akt; nad wszystkim wi-si nastrój grozy, który duszę ścisza niby w kleszcze i wywołuje w niej obrazy i myśli, psychicznego bogactwa pełne, zmuszając ją do współtwórczości, do samodzielnego posuwania się po orbicie, na jaką ją potężna ręka artysty rzuciła. Przed obrazami Grottgera widzi się o wiele więcej, niż jest na obrazach. I przed cyklem „Warszawa”, rozwiniętym przez artystę, który nigdy Warszawy nie widział, poznają i odkrywają prawdziwą Warszawę ci, którzy się w niej urodzili, wychowali i zestarzel.

Powodzenie towarzyszy Grottgerowi prawie stale. I, niestety, psuje go. Przyszedł on w epoce, która kochała się w ilustracji. Wydawcy po-



B. Koczyński. „Grajek podwórzowy“.



J. Skiński. „Portret p. Zandbank“.



Fot. St. Masłowski.

T. Pruszkowski. „Piastuni“ (nagrada 1000 rb).

chwycili też artystę, który był najgenialniejszym z ilustratorów. Obstałunki sypały się Grottgerowi. Wydawcy wiedeńscy brali wszystko, co wyszło z pod jego ręki. Przez cztery lata Grottger daje przeszło 250 ilustracji.

Jak to się dzieje, że jest przytem ciągle prawie biedny? Że mu stale nie mał dokucza brak? Że w jego listach tyle jest narzekań? Zapewne wytłomaczy nam to niepraktyczność artysty z jednej strony, drapieżność wydawców z drugiej.

Na szczęście, praca zarobkowa go nie ściera, choć zbyt wiele czasu zabiera sztuce polskiej. Grottger, gdy tylko chce, przypominj sobie zawsze, że jest — Grottgerem. W 1866 przychodzi nań wpływ dobrego ducha kobiecego, Wandy Monne, i oto powstaje, w ciągu kilku miesięcy, „Lituania“, „Pochód na Sybir“ i „Wojna“.

Już „Warszawa“ wzbudziła entuzjazm. Poeta niemiecki, Fogler, uczcił polskiego malarza natchnionym poematem. „Byłem przy tem,—pisze Grottger do narzeczonej, — kiedy wydeklamował te wiersze z całym zapalem, w prawdziwie artystycznym uniesieniu. Słyszałem, z jakim entuzjazmem przyjęło je dwustu Niemców i płakałem w duszy, jak dziecko. Mój Boże, możnaż być lepiej wynagrodzonym“.

W „Wojnie“ geniusz artysty staje na szczytach. Wychodzi niejako ze swej narodowej ojczyzny, aby z całym bogactwem polskich odczuć i doświadczeń wkroczyć w bezkresną dziedzinę ludzkości i dać wzruszenie niezapomniane, człowiekowi powszechnemu.

„O rodzie ludzki! O plemię Kaina!“

Oto jest myśl, tendencja, nauka grottgerowskiej tragedji. Oskarżenie to; więcej, napiętnowanie.

Poeta wypowiedział coś z najostateczniejszej głębi swej wielkiej duszy. Wstrząsnął sumieniami. Natchnął poetów. Polskiej sztuce dał piękną kartę w historii świata.

Marzył jeszcze o laurach paryskich. Wiedział, że i stolicą świata uznania mu nie poskąpi. Ale oddawna już nosił w piersi chorobę dziecięcą, która trawiła jego młode ży-



Fot. St. Masłowski.

St. Lentz, „Wino, kobieta i muzyka“.

cie. Trzydziestu lat nie danem było mu dobiec.

— Mojej lampy życia już nie widzę — mówię do przyjaciela w Paryżu.

Wywożą go do Pau, na południe, aby go ratować. 13 grudnia 1867 r. umiera na rękę Krajewskiego.

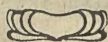
Największych dzieł jego niema w kraju. „Polonja“ uwięziona w jednym z węgierskich zamków; „Wojna“ zdobyła apartamenty cesarza austriackiego. Ale oba arcydzieła spopularyzowane są dostatecznie w odbitkach i znane każdemu Polakowi. Grottger jest jednym z najbardziej znanych i najwięcej kochanych polskich imion. I zapewne duchowi Grottgera to wystarczy; zapewne szepce on ze wzruszeniem na tę myśl: „Boże mój, możnaż być lepiej wynagrodzonym“.

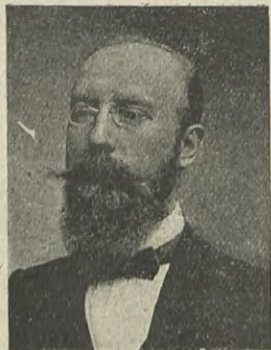
A. W.



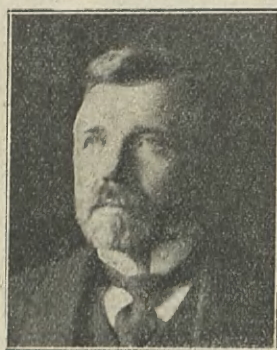
Fot. St. Masłowski.

M. Kotarbiński, „Portret“.





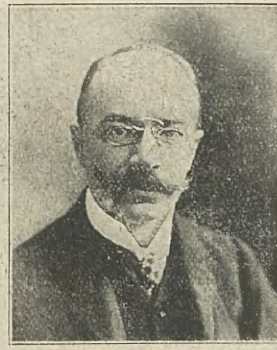
JAN STECKI, sprawy wewnętrzne.



STAN. BUKOWIECKI, sprawiedliwość.



ANTONI PONIKOWSKI, oświata.



JAN STECZKOWSKI, skarb.

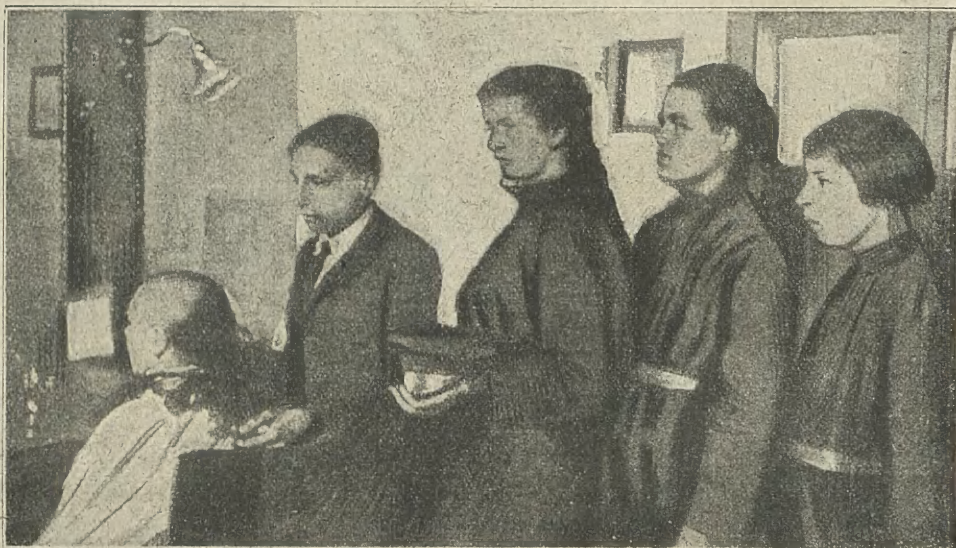
KOBIETA A WOJSKO.

Angielskie sufrażystki przypomniały światu, że kiedyś istniały pułki bitnych amazoнок, które się dzielnie potykały na placu bitewnym. Gdy wybuchła wojna, Angielka zaczęła agitować, by wstępowało do wojska. Sama też zdecydowała utworzyć kadry. Angielskie dowództwo nie zgodziło się na tego rodzaju pomoc.

Zaproponowano służbę sanitarną.

Angielskie sufrażystki pochwyciły tę możliwość, ale nie zapomniały o swych projektach. Do oddziałów lotniczych zgłaszają się różne sportsmenki, gotowe do usług.

Na dobre tylko kobiety rosyjskie zajęły się sprawą wojskową. Ochotników kobiet naliczyć można było sporo w szeregach armji carskiej. Niektóre nawet zdobyły sobie krzyże zasługi. Już za czasów rewolucji energiczna pani Gołubiewa utworzyła cały pułk piechoty, złożony z kobiet. Pułk ten, podobno, był w ogniu i spał się niegorzej od swoich kolegów: cofał się w porządku. Wniosko-



Moment krytyczny dla żołnierzy-kobiet: strzyżenie włosów.

wać z tego można, że pułk złożony z kobiet w niczem nie ustępuje pułkom, złożonym z mężczyzn.

Ostatnio Amerykanki znów zajęły się formowaniem pułku, by walczyć wspólnie za jedną sprawę wraz z obywatelem amerykańskim. Inicjatorce rozumują przytem, że skoro wystawiły program równouprawnienia kobiet, to zobowiązane są też bronić praw ojczyzny własnymi pierściami. Angielskie sufrażystki tym mniemaniem motywowały swoje żądania utworzenia pułków ochotniczych, złożonych z kobiet, przy armji gen. Haiga.

Czy posuwa to sprawę równouprawnienia? Czy rzeczywiście jest celowe? Odpowiadać nie potrzeba. W wojsku różne funkcje przypadają w udziale członkom armji. Kobiety, jako wywiadowczynie, możliwe, że dobrze spełniaćby mogły swoje zadania. Widzimy jednak kobiety i jako artylerzystki, lotniczki, kawalerzystki...

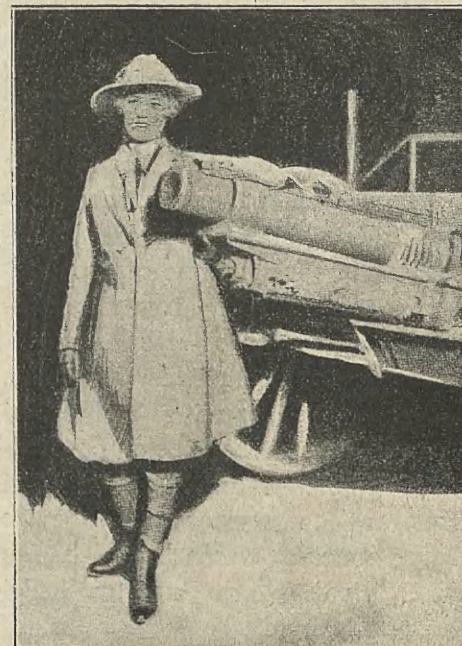
Najprzyjemniejszym widokiem pozostanie zapewne na zawsze kobieta-sanitarjuszka, ratująca zbrozonego krwią żołnierza, słodka opiekunka jego niedoli i doli bitewnej...

Kobiety-sufrażystki nie zaspaly sprawy i objawily chęć służenia w woj-

sku. Zaprzestana tedy nierozsądnej walcówki z arcydziełami sztuki, jaką uprawiały przed wojną, chcąc przekonać świat o swoim... równouprawnieniu. F.



Lotniczki - amerykanki.



Amerykanka - artylerzystka.



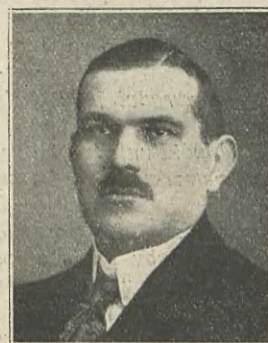
J. MIKUŁOWSKI-POMORSKI, roln. i dobra państw.



JAN ZAGŁENICZNY, handel i przemysł.



STAN. STANISZEWSKI, opieka społeczna i praca.



STEFAN PRZANOWSKI, aprowizacja.

Teatry warszawskie.

„Kajus Cesar Kaligula“ w Teatrze Polskim.

Twórca tragedji Judasza sięgnął znów do dawnych annali. Schyłek ceza-rejskiego Rzymu dostarczył mu na ten raz kanwy, by na niej wyrzeźbić postać ponurego szaleńca, Kajusa Cesara Kaliguli.

I znów mamy niesamowitą, nieszczęśliwą duszę. Znów wzrusza nas niedola, choć, jak w tym wypadku, spowita w szkarłat i purpurę.

Poeta Karol Hubert Rostworowski darzy takie schyłkowe postacie specjalnym wyróżnieniem. Roztacza koło nich cały przepych historycznych akcesorjów. Współczuje przytem tak szaleństwu rybaka Judasza, „co to sklepik mały miał“, jak i obłędowi możnowładcy, który skinnieniem ręki zadawał śmierć. Interesuje jednak Rostworowskiego nie cały proces upadku takiej duszy, utrwała bowiem tylko w profilu jeden moment tragicznego załamania, prowadzącego w konsekwencji do zguby, do zatracenia.

Te ostatnie drgawice omotanej, szalejącej duszy Karol Hubert Rostworowski podpatruje z okrutnym zamiłowaniem. Jego „Kajus Cesar Kaligula“ jest właśnie taką ostatnią chwilą wyżycia się duszy, która na drodze swojej spotyka sztylet, bo inna możliwość, inna przemiana jest już wykluczona. Szaleństwo zmienia się w ponury ton histerycznej kołowacizny, która z uporem wraca do pewnych, ustalonych motywów. Nawet w szaleństwie istnieje ubóstwo, nawet w obłędzie spowiada się pustka zielejąca bezmiarem bólu...

A ból ten pochodzi z długich, krwawych doświadczeń. Caesonja powie do Regulusa:

*Sluchaj! Ojca mu zabili,
brata głodem zamorzyli,
matkę do śmierci zmusili,
a wreszcie władcą świata ogłosili,
— to na jednego za wiele!*

Rostworowski nie sięga przytem po zmyślony świat tortury moralnej, gdy fakty te podaje. Znamy je przecież z historii trzeciego rzymskiego Cesara, co to panował nad Romą od 37—41 roku ery naszej. Był synem Germanika i Agrypiny. Wstąpił na tron po Tyberjuszcu,

którego był ulubieńcem, a wiedział, iż ten to władca kazał stracić jego rodzinę. Do stał przezwisko Kaliguli, bo chodził stale w żołnierskim obuwiu. A zresztą już jako dziecięciu za pieluszki „służyły mu sztandary“.

Ten to Cesar stał się źródłem inwencji artystycznej K. H. Rostworowskiego. Poeta wybrał sobie moment przedśmiertny. Kajus Cesar Kaligula, choć panował tylko cztery lata, pierwsze chwile swojej władzy zużytkował na dobro rzeszypolitej rzymskiej. Niebawem jednak duszę jego wynaturzyły wspomnienia. Z koni czynił senatorów ten szaleńiec, gdyż...

*„I wkrótce (koń) zostanie konsulem
na znak.*

*że dzisiaj w Romie ludzi brak,
na znak, że człowieczej rzeszy
znudziło się być człowiekiem,
a mnie po czterech latach panowania
zbrzydło
uważać bydło za nie bydło!*



Solski w roli Kajusa Cesara Kaliguli.

Możnowładca Rzymu pałał takim wstrętem, takim obrzydzeniem do swoich obywateli. Widział rozkład na zewnątrz, przeżywał rozprzężenie wewnątrz. I oszalał z nadmiaru widzenia, bo wiedział, iż „choć będą nauczała, jak mienie w ofierze nieść, a po-cichu będą brała — więc tylko forma się zmieni, nie treść“.

Rzecz zrozumiała, że człowiek taki musiał budzić niepokój, musiał rzucić cień bladej trwogi na swoje otoczenie. Odsunął przytem od siebie rozkoszną, ukochaną Lollję dla interesu dynastycznego, gdyż dziecię otrzymał od Caesonji. Niezadowolenie prowadzi zawsze do splisku. A na czele któż mógłby stanąć, jak nie Lolljja?

Rostworowski czteroaktową sztukę swoją o zamachu na życie Kajusa Cesara Kaliguli rozpoczyna właśnie sceną spisku w mieszkaniu Lolji. Tu niezadowoleni zbiorą się senatorzy. Radzą, namyślają się i choć postanowili zamach, nie stać ich na energię realizacji czynu. Młody tylko Regulus, zapatrzony w płonące oczy Lolji, zdobędzie się na odwagę: zaprzysięgnie Cesarowi śmierć. Czy dotrzyma obietnicy?

Nie ulęknie się on wymysłów Kajusa, gdy pocznie bezceścić Rzym. Zawoła w twarz szaleńcowi:

*Słyszysz człowieka, który nie pozwoli
dotykać tego, co boli.*

Strachleli senatorzy. Zaduśał się Kaligula. I wspomniął sobie chłopca, który miał odwagę szaleństwo jego nazwać po imieniu. Rzucił mu w twarz: jesteś wielkim błaznem! Oto Regulus jest drugim człowiekiem, który przeniósł prawdę nad nikczemny lęk upodlenia ludzkiej godności.

Kaligula chwyci go pod namięć i obdarzy zaufaniem. Wie on o spisku, który się knuje przeciw niemu. Protogenes powiadomi go szczegółowo o przygotowaniach. Jak zareaguje Kaligula? Czy się będzie bronił? Czy postara się stłumić w zarodku niebezpieczeństwo? Nie. Otruje on Regulusa, bo zawadza mu, bo jest inny od całej, służalczej czeredy, od kohorty senatorów, rycerzy. Kaligula bowiem wierzy:

...Cała ludzkość przepodlona —
a tak cnotliwa w imię dziedzicznej
podłości,
tak wzruszona tym prawem, które
sobie rości
do zbrodni, póki głodna, do gardzenia
sobą,
dopóki najedzona, zwie życia ozdobą,
wstrzemięźliwość i inne tym podobne
rady,
uczące, jak spożywać obiady,
że gdyby miała jedną tylko szyję,
wiedziałbym, co mam robić i poco
tu żyję.
rabnąłbym i odrazu zakończył z nią
zgrają
za to, że się od wieków znają i...
kochają...

Pogarda słów tych jest tak otchłan-
ną, jak tylko beznadziejną może być tę-
sknota ślepego za światłem. Cajus Caesar
Kaligula igra z niebezpieczeństwem. Pa-
tryzmu mu w twarz, ale nie ma siły go
zgnieść.

Padnie on od sztyletów senatorów.
Upokorzył ich dumę. Rządząc przez
pięć — pogardzał pięścią. To się mści.
Kres szaleństwa musiał nastąpić: wyzwolił
go śmierć od męki świadomości.

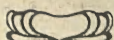
*Bo jestem bardzo nieszczęśliwy.
Bardzo. Nie śpiam całym nocami...
miewam zwidzenia... takie sny...
Ty tego nie znasz! Ty!*

Sztuka Rostworowskiego zawiera w
sobie kilka scen o niesamowitej potędze.
Postać tytułowa jest pomętym materia-
łem dla artysty dramatycznego. Inne fi-
gury są drugorzędne prawie. Nawet ko-
biety, Caesonia i Lollia, są tylko rzucane
w linijach szerokich, szkicowych.

Kajus Cesar Kaligula został opraco-
wany za to bardzo szczegółowo, bardzo
drobiazgowo. Ale też pokazuje nam Ro-
stworowski tylko jego profil duchowy.
Nie przeprowadza go przytem przez dan-
tejskie piekło doświadczenia moralnego,
któreby odpowiednio rozwijało jego psy-
chikę. Jest on gotowy, jako płaskorzeźba,
już od pierwszej sceny. Wzrusza plasty-
ką nieszczęścia, które obraca się w błę-
dnym kole szaleństwa. Poeta na tę nie-
możność ewolucji, na to znużenie ducha
przez jednostajność motywu, który opa-
nował wszystkie władze świadomości Ka-
liguli, kładzie specjalny nacisk. Jest w
tym tragizm jednostki — niema jednak
dramatu w konstrukcji sztuki teatralnej,
jako takiej. Statyka rzeczy pogłębia roz-
paczliwość, beznadziejność duchowego
oblicza Kaliguli. Nie wpływa jednak na
dynamikę dramatu w akcji.

Sztuka Rostworowskiego jest intere-
sującym dziełem. Napewno spotka się z
zaciekawieniem ze strony publiczności.
Dodać przytem trzeba, że naczelną postać
odtwarza L. Solski. Rola ta zyskała mu
już uznanie krytyki i publiczności kra-
kowskiej. O przedstawieniu warszaw-
skim napiszemy w następnym numerze.

Eustachy Czekalski.



„Książę Józef Poniatowski“ na scenie Teatru Rozmaitości.



Śliwicki w roli Stanisława Augusta.



Pichor w roli Pani de Vauban.

TEATR MAŁY. „Potęga ciemnoty“, dra-
mat w 5 aktach L. Tołstoja.

Z desek sceny Teatru Małego prze-
mówił mocny, żywiołowy geniusz L. Toł-
stoja. Sięgnął odrazu w podstawy mo-
ralne bytu chłopca rosyjskiego. Wskazał
na tragizm jego niedoli, gnębionej „potę-
gą ciemnoty“. Bezsens tego życia, sta-
pającego po zbrodni, jest tak otchłanny,
że tylko współczuć mu można. Nie sądzi
więc Tołstoj swoich bohaterów. On im
współczuje. Z miłością kreśli ich krzy-
wizny duchowe, ich oblicza, pełne wyra-
zu i charakterystyki.

A fabuła? Zdarzenie, jakich zapewne
zna kronika wypadków tysiące. Młoda u-
rodziwą niewiastą, wydana za mąż za do-
gorywającego starca dla dobrobytu. Czy
jest z nim szczęśliwa? Szczęście swe
znajdzie w ramionach Nikity, zdrowego,
pełnego temperamentu parobka. Parobek
ten jest oczkiem całej wsi, całej groma-
dy. Kochają się w nim kobiety.

Dla swojej gospodyni rzuci ubogą
dziewczynę. Matka rodzona mu w tem
pomoże, choć ojciec gromi bezwstyd tego
czynu. Matczyne serce jest ozię: pra-
gnie dostatku i dobra dla swego syna.
Z okazji tej zapewne uda się też u-
szczęknąć coś matce.

Chytra ta i przebiegła babina pomy-
śli też nad tym, by w jakiś sposób uła-
twić życie swemu synowi i gospodyni.
Przymiesie tej niezawodny środek: tru-
ciznę. Stary mąż umrze wskutek tej truci-
zny. Czy będzie już owia gospośnią szczę-
śliwą! Grzech się mści, mówi Przyby-
szewski. Tołstoj pokazuje zaś, jak grzech
prowadzi za sobą mowy występki.

Nikita zapala afektem do urodziwej
kuzynki. Zdradzi swą żonę teraz już
z ową młodą, rumianą dziewczyną. I znów
grzech. Znów morderstwo. Trzeba prze-

cież ukryć ślady występnej miłości. W
noc głuchą każą mu kobiety zakopać ży-
we dziecię w ogrodzie. Cóż robi Nikita?
jako typowy Rosjanin, zżyma się, zlorze-
czy, a świństwo robi.

I akt piąty: wesele dorodnej kuzynki.
Budzi się sumienie w pijanym Nikicie.
Wobec wszystkich zebranych gości, wo-
bec wsi całej wyznaje zbrodnię swoją.

Teatr Mały wystawił sztukę tę z ca-
łym pietyzmem. Reżyserja i wystawa
były bez zarzutu. Artyści grali bardzo
sprawnie, tworząc harmonijny, rodzajo-
wo dramatyczny zespół. Dobry typ sta-
ruchy-matki stworzyła p. Gorska. Żo-
ną była p. Przybyłko. Zalotną dziewicę
zrobiła p. Krystyńska, a tony szerszego
dramatu drgały w głosie p. Gzylewskiej,
jako odtraconej wiejskiej dziewczyny. Z
mężczyzn na czoło wysunął się p. Neubelt.

E. C.

Zawieszenie broni na froncie rosyjskim.

Dnia 1 b. m.
sztab generalny
niemiecki zako-
munikował o ro-
zejmie wojsko-
wym na froncie
walk rosyjskich.
Termin trwania
zawieszenia bro-
ni określono na
dziesięć dni. Ze
strony rządu nie-
mieckiego peł-
nomocnikiem do
zawarcia ukła-
dów został mian-
owany generał
von Hoffmann.



Gen. von Hoffmann.



T. Ryder.



T. Mazurkiewicz.



J. Hirszfeld.



Walek-Walęwski.

Posąg Szekspira w Łazienkach Królewskich w Warszawie.



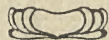
Posąg Szekspira dłuta rzeźbiarza Tomasa Rhięiego z XVIII-ego wieku.

24 listopada r. b. w sali Kamienicy Książąt Mazowieckich prezes Towarzystwa Miłośników Historji, mecenas Aleksander Kraushar, rozwinął przed słuchaczami nieznaną przedtem kartę z dziejów

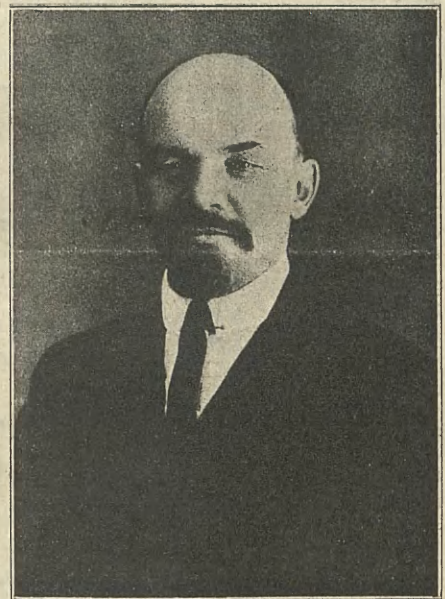
kultury polskiej za Stanisława Augusta. W szeregu posągów ciosowych, ustawionych na balustradzie teatru na wyspie w Łazienkach, wykrył prelegent świetnie zmodelowany przez włoskiego rzeźbiarza Tomasza Rhięiego, wykonawcy figur biblijnych przy portyku katedry wileńskiej, posąg twórcy Hamleta — Williama Szekspira.

Pomysł odtworzenia w rzeźbie postaci najslynniejszych tragiczków starożytności i czasów nowożytnych do sęhytku XVIII w. wyszedł od Stanisława Augusta, który, jako znawca literatury angielskiej i sam jako tłumacz 1-go aktu tragedji Szekspirowskiej „Juljusz Cezar“, wystawieniem posągu nieśmiertelnemu twórcy angielskiemu pragnął skojarzyć tradycje wielkiej sztuki dramatycznej z prądami do odrodzenia umysłowości polskiej, ujawnianemi we wszystkich dziedzinach za jego panowania.

Chlubnie świadczy o kulturze polskiej fakt, że w epoce, gdy na Zachodzie — z wyjątkiem Anglii — Szekspirem mało się zajmowano: u nas dwór królewski i Puławy Czartoryskich żywiły istotny kult dla genjuszu „łabędzia z Avonu“.



Najwyższy przedstawiciel Rządu i głowa bolszewików rosyjskich.



Lenin, przewodniczący Rady komisarzy ludowych, zwycięzca Kierenskiego, który doprowadził do rozejmu.

Kto pragnie się uczyć lub uzupełnić swą wiedzę, a mieszka na prowincji, ten niech napisze do Kancelarji Kursów Gracjana Pyrka (Warszawa Ś-to Krzyska 17), a wysłane mu będą bezinteresownie odnośne wskazówki i rady, jakie najlepiej przyjąć należy przy odpowiednim doborze nauk i racjonalnym sposobie studjowania ich. 10445

Cukiernia CZEŚKAWA PODGÓRSKIEGO Elektoralna 28 w Warszawie poleca: Na Święta wyroby własne. Ceny przystępne.

Jung Strom 1/2 Watowe
dają dzienne zeinadkowane światło przy dużej oszczędności prądu

Dnia 9 b. m. zmarł w 45 roku życia w Warszawie rektor politechniki, inżynier Stanisław Patschke.

Ś. p. Stanisław Patschke, po ukończeniu szkoły realnej w Warszawie, kształcił się w instytucie technologicznym w Petersburgu. Wykładał chłodnictwo i ogrzewnictwo w szkole Wawelberga i Rotwanda, następnie prowadził fabrykę maszyn p. f. „Bracia Geisler, Okolski i Patschke”. Po wskrzeszeniu Politechniki w r. 1915 został dziekanem Wydziału mechanicznego, w rok zaś później, po ustąpieniu inżyniera Zygmunta Straszewicza, został wybrany na rektora. Ogłosił szereg artykułów w „Przeglądzie technicznym” oraz w osobnych wydawnictwach.



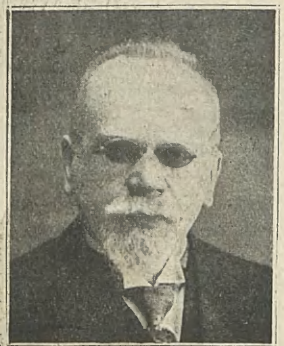
Dnia 9 b. m. zmarł nagle na aneurizm serca ś. p. Stanisław Gołębiowski, członek i sekretarz red. „Gazety Porannej”, dawny redaktor „Narodu”, wioioletni współpracownik pism ludowych, jawnych i nielegalnych, nauczyciel, siewca oświaty wśród ludu. Zmarł w 40-ym r. życia.

Ś. p. Stanisław Gołębiowski, urodzony w dn. 19-ym stycznia 1877 r. w wsi Skepe w pow. lipnowskim. Seminarjum nauczycielskie ukończył w Wymyślinie.

W r. 1906 wstępuje do redakcji „Narodu” i niebawem zostaje naczelnym kierownikiem. Następnie jako sekretarz redakcji „Gazety Porannej” ś. p. Gołębiowski dał się poznać szerokim kołom jej przyjaciół z jak najlepszej strony.



Dnia 25 listopada zmarł w Warszawie w wieku lat 69 dr. med. Teodor Heiman, wychowawiec Szkoły Głównej. Urodzony w r. 1848 w Warszawie, ukończył wydział lekarski w roku 1872, tytuł doktora medycyny uzyskał w r. 1879. Przez lat 25 był lekarzem wojskowym. Całe życie poświęcił pracy naukowej. Piórem i słowem rozpowszechniał wiadomości otologiczne, wydał przeszło 100 dzieł w 4-eh językach, przyjmował udział w licznych międzynarodowych kongresach medycyny ogólnej, na których często był jedynym przedstawicielem polskiej otologii. W r. 1908 został wybrany na prezesa Towarzystwa oto- laryngologicznego w Warszawie.



JAN MATUSZEWSKI
33 CHMIELNA 33
TRZECI DOM
OD MARSZAŃKOWSZEJ

FABRYKA
TRYKOTAJZ

POLECA
POŃCZOCHY
ŻAKIETY
SKARPETKI
SWETERY
DZIECINNE
TRYKOCIKI
i T. P.

FILJA
154. MARSZAŃKOWSKA 154
PIERWSZY DOM OD KRÓLEWSKIEJ.

PRACOWNIA Krawiecko - Kuśnierska **Br. UNKIEWICZ** WARSZAWA Hoża № 54.
Poleca: Palta, Okrycia, Kostiumy, Spódnice, Futra, Kołnierze, Mułki.
Wielki wybór - Najnowsze fasony. 10440

MAGAZYN UBIORÓW MĘSKICH
Wacława Perendyka
SENATORSKA № 8. WARSZAWA. SENATORSKA № 8.
dawniej: SZWALBE, ŚACH i S-KA
Wykonywa wszelkie obstalunki. Na składzie wielki wybór materiałów. BURKI PODRÓŻNE. 10434

Bracia Borkowscy
FABRYKA I SKŁADY ELEKTROTECHNICZNE
WARSZAWA ŁÓDŹ
Jerozolimska 56 Piotrkowska 125
Artykuły elektrotechniczne, jako to: lampki, przewodniki, rurki i materiały instalacyjne w wielkim wyborze stale na składzie. 10420

ALFRED KONAR
JESIEŃ
POWIEŚĆ 10393
Nakładem Kasy Przejrzystości Warszawskich pomocników księgarskich.

OSTATNIA POWIEŚĆ
JERZEGO ŻUŁAWSKIEGO
Laus Feminae
Cz. pierwsza POWRÓT Mk. 4.50
Cz. druga PROFESOR BUTRYM Mk. 5.00.
Do nabycia we wszystkich księgarniach 15701

OD BÓLU GŁOWY

Nerwomigreni
..Motor..

W OPŁATKACH.

Dozwolony przez Radę Medyczną. Dla odróżnienia od wielu leków o zbliżonej nazwie, zwracamy uwagę, że nasz środek leczniczy znajduje się w sprzedaży tylko w opłatkach opatrzonych naszą firmą.

Warsz. Tow. Akc. „MOTOR” Marszałkowska 23.

Skład Broni
J. SOSNOWSKI
pod firmą
Egz. od 1861 r. wł. Cz. Lisowski
Warszawa, HOTEL EUROPEJSKI
Poleca bronie kurkowe i bezkurkowe, proch czarny i bezdymny, szrut oraz gotowe naboje ELEY LA CLERMONT.
WARSZTATY REPARACYJNE NA MIEJSCU. 10429

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 15 grudnia 1917 roku.

Nr 50.

Alfred Konar.

POWIEŚĆ.

KARYERY.

58

Wystraszona Irena, pomimo ciemności, spostrzegła swoim dobrym wzrokiem sunącego po drugiej stronie ulicy samotnego mężczyznę.

Nie myli się: To on! Co za dziwny traf — poznać kogoś w takiej chwili, kogo raz w życiu się widziało!

I, jak tonący, który chwyta się deski zbawienia — krzyknęła:

— Panie Romku! To ja, Twoja bratowa. Proszę podać mi ramię. Jestem ocalona! — przytuliła się do niego, drżąc, jak małe dziecko.

— Ponieważ Antek zgubił króla Heroda — przedstawienia nie będzie — syknęła figura z pod ciemnej gwiazdy. — Oby cię zła krew zalała, ty Alfonsie! — burknął pod nosem nastpnik, i, zmieniając nagłe swoją marszrutę, zawrócił z powrotem ku dołowi.

— Szczęść Boże młodej i dobrej parze. A piszcie! Na Berdyczów! — rzucił im zdaleka na pożegnanie.

— Jestem panu tak wdzięczną za ratunek... Ten bandyta niewymownie mnie przestraszył. Oto tam stoi dorożka! Dziękuję. Nie puszczam pana i zabieram ze sobą na herbatę bez żadnych wymówek. Brat pański będzie mi wdzięczny za tę zdobycz. Ta wizyta oddawna nam się należała. Il vaut mieux tard, que jamais. A ona poczeka do jutra!

Romek nie śmiał stwierdzić faktu, że ta ona — to korepetycja, której nie chciałby utracić.

W dorożce rozmowa toczyła się jedynie na temat warszawskiego ban-

dytyzmu. Irena tłumaczyła się ze swej samotnej eskapady obowiązkami filantropijnymi: chodziło według jej zeznań — o odwiedzenie jakiejś protegowanej przez kurjer chorej wdowy z sześciorgiem drobnych dzieci, zamieszkałej tuż przy ogrodzie Koła sportowego, który mylnie wydawał jej się z samochodu mniej oddalonym od alei, niż w rzeczywistości. I nie sądziła, aby wieczory były już tak wczesne i tak ciemne.

Dorożka stanęła przed bramą jej mieszkania.

— Rzec postanowiona; bez żadnych wymówek; — zdecydowała — musi pan Romek wypić teraz u mnie filiżankę herbaty.

Romek, onieśmieszony tą awanturą — nie potrafił odmówić.

XXVIII.

Wygallowany służący zaspaniem oczami zmierzyl od stóp do głowy towarzyszącego Irenie nieznanego i niezwykłego o tej porze gościa. I zdejmował okrycia z niemą dystynkcją manekina, pojmującego, że zdarzają się na świecie rzeczy, o których ani filozofom, ani lokajom się nie śniło.

— Proszę podać herbatę w białym saloniku — wydała rozkaz; poczem wprowadziła Romka do salonu. Lecz wnet, usprawiedliwiając się potrzebą zmiany ubrania i przemokłego obuwia, pozostawiła go na chwilę samym.

Romek rozglądał się po wytwornym pokoju, nastrojającym nadzwyczaj

lubo, pogodnie, estetycznie. Pokój dość duży, z białymi ścianami w stiukach, z subraportami szkoły Bouchera, cały w stylu eklektycznym, z akwafortami Chardin'a, Corotta, Renoir'a i Delacroix.

Dużo mebli, poduszek, parawaników; szeszelonzek z białym miedźwiedziem; olbrzymi dywan. Kilkoro wielkich balkonowych szklanych drzwi z małym wersalskim szybkami. Część gobelinowych mebli ze złoczonego drzewa w stylu Ludwików, odmłodzonych wygodnym angielskim mahoniami, krytym safranem modern stil.

Na stoliku w olbrzymim japońskim wazonie lampa elektryczna z holenderskim abażurem w monstrualne kwiaty. Na kominku cała menażerka z Kopenhagi. W *couvre-pôt*ach wędzwudowych — olbrzymie palmy. Wszędzie porostawiane fotografie w ramkach i bibeloty Gallet'a, Daum'a i Massier'a i trochę antycyków z perłowej masy, bronzu i agatu. W długich wazkach kryształowych wazonach mnóstwo cudnych świeżych róż. Tylko w kącie krzyczy wniebogłosy siłą barw olbrzymia żardiniera kwiatów, wybranych — zdaje się — podług gustu Jegora: Jakieś monstrualne chryzantemy, hortensje i boules de neige.

Do salonu weszła w pięknym, jedwabnym *saut du lit*, koloru *rose bouton* z walansienami — Irena, wonna, uśmiechnięta, pogodna, miła i grzeczna.

Zreznem okiem znawcy obrzuciła Romka całego od stóp do głowy. Zdał egzamin: Zmienił się na awanturę od czasu, kiedy po raz pierwszy ujrzała go na kiermaszu.

Stracił swoją oleodrukowość; aksamitne oczy marzyciela nabrały teraz więcej męskiego wyrazu i pragnień, bardziej zdecydowanych. Lecz

proporcje zostały te same: niezbyt wysokiego, szczupłego, śniadego brunecika o wązkim czole i o małych kobiecych ustach, z długimi, wązkimi delikatnymi rękami. Głowa kształtna, ciemny wąsik, niezbyt bujny, młodzieńczy.

Zasiedli na wygodnych fotelach około stołu pod abażurem lampy. Dwóch wygalowanych lokajów wniosło bardzo wytworny angielski stolik z herbatą, winem, ciastkami i cukrami.

Irena bardzo umiejętnie wciągnęła Romka do zwierzeń. Bardzo zainteresowana — badała go o zmarłych rodziców, o wspólnych krewnych, o Jędrzejewice.

Sama mówiła niewiele, lecz bardzo umiejętnie słuchała. I Romek rozgadywał się.

To atmosfera tego estetycznego pokoju tak zachęcająco działała. To piękne nakrycie do herbaty, ta służba, uwijająca się jak na gumach. Przytem ta cudna, wytworna kobieta...

I Romek, pomimo całego swego bardzo czerwonego demokratyzmu, powtarzał sobie w duszy:

— Trudno! Trzeba przyznać, że co księżna, to księżna!

Było mu przyjemnie, że nie jest w tym pałacu żadnym intruzem, z innej planety, oficjalista, interesantem, korepetytorem; ale swoim; bądź co bądź — szwagrem.

Boczył się na nią przez całe lata — to prawda. — Ale czas zatarł w nim wszystkie rany.

Ta kobieta faktycznie jego brata po nad wszystko kochała! A dzisiaj temu przyjęciu bratowej nie mógł też nic zarzucić. Zresztą przyjemność mu sprawiało mówić o rodzinie, o zmarłych i o dziecięcych czasach. Zdarzyło mu się to po raz pierwszy od bardzo dawna.

W jego szarem życiu małego urzędnika na czwartaku — nikt ze znajomych nie interesował się tym zaułkiem jego mózgu, który mu ciążył. Dopiero od całych lat zmuśnionej pracy i szarych nieciekawych rozrywek ona pierwsza otworzyła naoścież tę rupieciarnię jego duszy.

Spoglądał na nią bardzo wdzięcznym wzrokiem, który — mimowoli zatrzymywał się na jej frapującej urodzie nieco dłużej.

Gumowa służba oichaczem wyniosła serwisy. Irena zabrała się do stojącego na stoliku koszyczka z haftami, które poczęła wyszywać jedwabnymi niciami, zaprzestając od czasu do czasu roboty — wsłuchana w jego opowiadanie, zachęcająco zainteresowana dalszemi szczegółami rodzinnymi.

Tkwilo w tem tej przejęciu się nieco premedytacji skokietowania tego młodzieńca, według stałej dewizy pięknych kobiet: Na wojnie — kto na drodze — ten nieprzyjaciół!

Wiedziała też, że według zasad gościnności — należy być jak najbardziej miłym dla każdego zaproszonego gościa. Umiała na pamięć ten katechizm towarzyskiego obycia i wielkopańskiej rutyny ze szkoły nieoceanionej hrabiny de Sommerive.

Lęcz pozatem wszystkim rozkoszowała się miłym ciepłem swego jasnego salonu i skromnym ułożeniem tego najwidoczniej nie zepsutego młodego chłopca, jak czystą kąpielą po wyjściu z błota pijackiej obozowej garsoniery. Napawała ją szczęściem ta nagła powrotna przemiana bezdomnej kokoty do roli uczciwej kobiety, robiącej „honory“ gospodyni w przyzwoitem towarzystwie sympatycznego szwagierka we własnym domu.

I z niekłamanym zadowoleniem wsłuchiwała się w leitmotywy duszy Romka. A złote struny jego melancholji — ilekroć napadał go w życiu smutek — wygrywały — jakby za dotknięciem niewidzialnej różdżki — wiecznie też samą melodię:

— Karykaturalna kultura — utyskiwał w swoim piskłym żalu — porusza całe życie człowieka wyłącznie korbą emulacji i zawiści. Od najmłodszych lat chłopiec zakuwa się w szkołach, jak koń wyścigowy, jedynie, aby — jeśli nie można być pierwszym, nie być przynajmniej dziesiątym na liście, ale chociażby tylko dziewiątym, a potem koniecznie ósmym. Pedagogom o stępiałym zmysle obserwacji — nie wpada do głowy myśl o kąkolach zawiści, wyrastających w duszach tych dzieciaków; o ukrywanych bólach i o łzach tych serc, nie wytrenowanych jeszcze do cierpień, a wprawiających się dopiero do całej treści życia. A pokarmem tej wegetacji aż do grobu będzie jad plotkarstwa i nienawiści, który stanie się następnie osią całego ich istnienia. A hasłem tej gonitwy będzie wieczna emulacja, chęć prześcignięcia słabszych i zwycięstwa, okupionego wstydem i nienawiścią pobitych. Panny uwodzą młodzieńca „ze stanowiskiem“, aby wzbudzić zawiść u koleżanek, z których każda za niego „przeszłaby się“. Młody małżonek pragnie mieć syna, aby mógł fanfaronować przed „światem“, jakim jest zuchem. Pomyśleć, że ludzie nawet kochają się na optykę, dla spektatorów. Miałem kolege; szczerze przywiązał się on do dziewczyny brzydkiej, lecz bardzo miłej i zacnej, która go ogromnie kochała i z którą

w zaciszu czuł się faktycznie szczęśliwy. Lecz nie pokazywał się z nią nigdy na mieście z obawy, aby ludzie nie litowali się nad jego złym gustem, i spacerował ku rozpacz swej wybranej z inną, złą i głupią, lecz piękną, której nie lubił, i która go nudziła, jedynie z pychy, iż za nią na ulicy oglądano się i zazdrozczono mu szczęścia. Młoda matka sprzedawała djabłu duszę za piękny biały wózek i za piękne białe z koronkami ubranka swoich niemowląt, wzbudzając zawiść w parku, krocząc wówczas z dumą i ekshibicjonizując swoje zewnętrzne szczęście. Kiedy po latach małżeństwo nudzi się ze sobą i kłóci — zaczynają (dosięglszy już po śmierci swoich starych współzawodników życiowej kariery) przyjmować gości. Ludzi tych przeważnie się nie lubi, a zaprasza się jedynie, aby mógł ich zamartwić widokiem pięknego apartamentu, bogactwem sreber stołowych i smakiem wytwornej kuchni, aby im w gardle z zawiści stanęła. Goście, jak mogą, smakują ziemi uśmiechami swoją gorzycę, wybuchając dopiero nienawiścią na schodach. A gospodarstwo czuje tę zawiść; i są szczęśliwi; udało się: W walce o pompę wystawnego bytu — zrobili w życiu karierę! A młodzi, wdrapując się w znoju po szczeblach coraz wyżej ku karierze, czyhają w zniecierpliwieniu, aby mógł zarzucić starzejącemu się, że jest już „ramolem“ z innej epoki. Jak gdyby wszystkie epoki na całej kuli ziemskiej nie były z małą zmianą bliźniaczo do siebie podobne!

Zaprzestała chwilę swojej robotki:

— Nie wszyscy ludzie na świecie są karierowiczami — rzuciła mu śliczny uśmiech, wsłuchana z zajęciem w jego bunt młodzieńczy.

— Wszyscy, z wyjątkiem tak zwanych wykołajeńców. I w naszej rodzinie — lubował się we wspomnieniach — zarówno wuj Franek, jak i ja, i brat mój byliśmy mniej lub więcej karierowiczami.

Dotknięta tem, iż niebacznym wspomnieniem Horskiego zepsuł miły nastrój wieczoru — rzuciła mu cierpką:

— Raczej on; lecz nigdy wuj Franek, ani pan. Zresztą — on jest zupełnie do was niepodobny.

— Mamy też same poczucia estetyczne — upierał się Romek. — I on hołdował wiecznie pięknym ramom życia.

— O! Ramy — nie mają nic wspólnego z artystem — chodzi o wartość samego obrazu. Wy obaj z wujem Frankiem żyliście muzyką, malarstwem; to jest artysta, to jest

prawdziwa sztuka. A lubić formy, rami — to jest sztuka, zastosowana do przemysłu.

Zaczełam mówić o miłości. Z zaciękwawieniem kobiecym — badała jego erotyczne życie, z którego zwierzał jej się z chłopięcem zaczerwienieniem po białka oczu.

Skonstatowała, że nie jest ani cynicznym, ani sceptykiem, typowy grandamoureux; w miłości — sentymentalny, uroczysty i smutny. W życiu jego poza biedną Zosią, którą uwielbiał — było kobiet bardzo niewiele; lecz każdej poświęcał część swojej duszy; każdą traktował serio; czcił, gotowy do największych ofiar.

Ani spostrzegli, jak przeleciało im w mig kilka godzin na nadzwyczajnie lubej pogawędce.

Il est très gentil ce garçon! — zdecydowała w myśli, kiedy powstał z siedzenia, a ona odłożyła już swoją robótkę. — Dziękuję bardzo — uśmiechała się do niego — za ocalenięcie mi życia i za uprzyjemnienie tej małej chwili.

— O! Ta mała chwilka — to licentia poetica!

— Nazywam chwilą czas, który przebiega szybko; czas trwania szczęścia wydaje się zawsze chwilą. Prawda? A godzina ćwiczeń fortepianowych, lub lekcji angielskiego, czyż nie wydawała się nam ongi całym wiekiem?

— Bardzo słusznie. Ludziom szczęśliwym całe długie życie przelatuje, jak jedna chwila.

— Pragnęłabym poznać tę wysepę, na której taka chwila kwitnie.

Wymogła na nim na pożegnanie najsołenniejszą obietnicę podzielenia z nim jutrzejszego śniadania w kółku ściśle rodzinnem: en petit comité sans cérémonie.

— Ha! Ha! Kamerdyner Umberto, potem moskal, a teraz znowuż szwagier. Poszukuję wrażeń co raz bardziej pieprzonych! Brr! — cynizowała w myślach po jego wyjściu. — Mam podniebienie djabło przepalone! A jednak największą ohydą mego życia była ta legalizowana przez klaniający mi się nisko świat sprzedaż mego ciała za pieniądze tej zgangrenowanej wstrętnej mumii, ostatniego z rodu książąt Witke-Aschenborgh! Brr...

— Il vraiment très gentil! — powtórzyła, kiedy już wyszedł, i wdzięczna mu za to, że był tak miłym, położyła się do łóżka w najlepszym nastroju, jak gdyby bromu zażyła. Lecz zaledwie zagasiła światło elektryczne na nocnym stoliku, poczuła, że lekarstwo było zbyt słabe na jej ból, chwilowo tylko zewnętrznie o-

czadzony. Teraz rozpanoszony wśród nocy — pochwyił ją znów bezlitośnie w swoje kleszcze, pastwiąc się nad nią do rana.

— To mić innego; muszę mieć gorączkę — zdecydowała zdumiona, jak jest bezsilną wobec swoich psychicznych cierpień, pomimo najściślejszej logiki i spokoju argumentów, z jakimi zdawała sobie najdokładniej sprawę z całej sytuacji.

— Powinnam czuć się szczęśliwą — powtarzała sobie bez końca, przewracając się wśród czarnej mocy z boku na bok i poprawiając wciąż poduszki — że ta ohyda się skończyła, że jestem znowuż sobą, damą, a nie nocną cimą z ulicy Agrikoli. Jestem meżatką!

— Ha! ha! Meżatką! — klasnęła z tryumfem w dłonie i następnie z uczuciem przykrego bólu trzonowego zęba — pochwyliła się za głowę.

Ta zwiększająca się w niej wciąż animozja ku Horskiemu, tak charakterystyczna w jej psychologii — owładnęła nią z taką siłą, że miała ochotę wyć z bólu.

Nie przestawała czynić go odpowiedzialnym za wszystko zło, jakie ją w życiu spotkało: On był twór-

cą tej całej gehenny jej życia. To on ją rozkochał, kiedy była młodą dziewczyną, a potem dla własnej kariery — rzucił.

— W walce o pompę wystawnego bytu — cytowała w myślach wyrażenia Romka, porzuconą przez niego — pojechałam zagranicę; od rysztołka wdrapałam się aż do wyżyn książęcego pałacu, zabrudzonego tchem mojej przeszłości. A potem w Warszawie dla niego przecież porzuciłam wszystko i znowuż z jego powodu, wykolejona z rozpacz, wpadłam w objęcia tego pogardzającego mną pijaka z Agrikoli.

I aby choć trochę rozjaśnić piekło swoich myśli, powracała do Romka, z jego młodzieńczemi rumieńcami i naiwnością, z jaką spowiadał się ze swoich czystych uczuć miłości.

— Oh! Qu'il est gentil ce bébé! — leczyla się wśród tej bezsennej nocnej męki bromem tego wspomnienia.

I drzemiąc, bawiła się ułudą, że jest młodziutką dziewczyną i że to Romek jest właściwie tym jej jedynym Horskim z Jędrzejewic, który tę czystą dziewicę zaślubił — miłością swoją wieczną i jedyną od burz i błota życia — osłoni.

Dalszy ciąg nastąpi.

Wieś polska w oświeceniu Tad. Ign. Baranowskiego.

Przedwcześnie zgasty historyk wieś polską poświęcił rozświetleniu stosunków, jakie składały się, w ciągu historii, na tę społeczność i charakterystyczną całość, którą „wsia polska“ nazywamy. „Z dziejów feudalizmu na Podlasiu“ było jedną z pierwszych większych prac w tym kierunku. Potem nastąpiły inne, również na źródłach oparte, jak „Wieś polska między Unją a Konstytucją 3 maja“ i dalej „Księgi Referendarskie“. Osobna praca „Wieś i Folwark“ syntetyzowała zdobyte materialnie wnioski. Oprócz tego napisał Baranowski popularną książeczkę w „Bibliotece Historycznej“ wydawnictwa M. Arcta p. t. „Krótki zarys dziejów wsi polskiej“, w której jasno i przystępnie wyłożył swe poglądy.

Wedle dostarczonych nam przez Baranowskiego danych, aż do uwłaszczenia dzieje wsi polskiej mają dwa tylko periody: w pierwszych wieś się kształtowała z dwóch elementów, tubylców i przybywców, głównie Walonów a potem Niemców; i wtedy była wolnem małym społeczeństwem; w drugim okresie wieś polska, już ukształtowana, dostała się pod coraz to większą władzę „dziedzica“ i przekształciła się w tak wyłączone i zamknięte w sobie ustrój, że

nasz historyk nie waha się nazwać wsi polskiej w tym okresie malusiem „państwem merkantylnem“.

Krótkie ale jedne obrazy ilustrują piórem Baranowskiego te różne stany wsi polskiej.

Oto zjawia się u ziemianina, który jest jeszcze tylko rycerzem i gospodarować ani chce, ani umie, energiczny przybysz i ofiaruje się na osadźcę. Podejmuje się zbudować wieś na ziemi polskiej. Dostaje więc grunty, które ciągle należy w puszczy wypalić i wykarczować, sprowadza ludzi, wymierza im wzdłuż drogi publicznej łany, zyskuje dla nich lat dwadzieścia „wolizny“, t. j. swobody od jakichkolwiek ciężarów. Gospodarstwa wydzielone są obszerne, włókowe. Sam osadźca dostaje dziesiątą część oddanej pod wieś ziemi, dziedzienną władzę sądowniczą, prawo łowienia ryb i połowiania zwierzyny, czasem jeszcze przywilej na wyrób piwa.

Tak powstaje w Polsce wieś. — i jej wójt albo sołtys.

Panu wieś ta przynosi cośkolwiek dopiero po ustaniu wolizny. Więc czynsz, zwykle dwadzieścia groszy, i pewną ilość jaj i drobiu.

Widząc rozwój pomyślny wsi, po-

wstałych w ten sposób, systemem osadnictwa, i wsi polskie, które samorzutnie i historycznie powstały, w takie osady się przekształcają. Wieś jest wtedy wolna i zamożna. Jej stosunek do dworu dobry, sąsiedzki.

Ale zdarza się coraz częściej, że kmięć po odsiedzeniu lat dwudziestu na prawie wolizny, gdy mu przychodzi teraz płacić czynsz i składać świadczenia, umyka chyłkiem na wschód, na Mazowsze i na Podlasie, przez nowego osadźcę pociągnięty albo sam już jako osadźca. W ten sposób pan pozbawiony jest zysków, na jakie liczył.

Więc to sam Kazimierz Wielki, „Król chłopków”, który wydał już ustawy, stające w obrocie własności dziedzicznej kmięcia, ogranicza swobodę przenoszenia się dowolnego chłopka z miejsca na miejsce, ale w rozmiarach rozsądnych i prawnymi a słusznymi względami podyktowanych.

„Z powodu częstego odbiegania poddanych — mówi Kazimierzowski statut, — niszczeję majątki panów, przeto nie ma na razie więcej kmięci bez woli pana do innej wsi się przenosić, jako jeden lub dwóch”. Inni mogą to zrobić, ale dopiero po odsiedzeniu dwa razy tyle lat, ile wynosi ich wolizna.

Panowanie Kazimierza Wielkiego jest apogeum pomyślności wsi polskiej.

Potem obraz przykro się zmienia.

Cały szereg przyczyn, a głównie uregulowanie handlu zbożem polskiem przez Gdańsk i wysokie ceny na produkty rolne, przeradza rycerstwo na ziemiaństwo.

Powstaje nowa gospodarcza instytucja na ziemi polskiej: *folwark*. Pan zaczyna sam gospodarować. A że nie ma ani siły pociągowej, ani robotczej w dostatecznej ilości, więc kładzie nacisk na pańszczyznę.

I to coraz większy.

Rośnie bowiem chciwość.

Stopniowo, ale dość szybko, pan kładzie ciężką rękę na wszystkich źródłach swobody i dobrobytu kmięcego. Wymaga od chłopów aż sześciu dni roboty sprzężajnej; wykupuje prawo sądownictwa od wójtów i sołtysów; ustala cały szereg monopolów, a więc na wódkę, piwo, często śledzie, sól i żelazo; wreszcie zagarnia cały handel zbożem, lnem i drobiem.

Wtedy to dziedzic staje się panem absolutnym na swojej wsi, która jest, wedle charakteru ustroju, *państwkiem merkantylnem*, ale właściwie despocią merkantylną.

Prawo publiczne organizuje i wzmacnia ten smutny stan rzeczy. Od 1496 r. powstaje cały szereg konstytucji, które przywiązują chłopca do ziemi. Natomiast państwo przestaje się mieszać do stosunków pana z chłopem i to aż do r. 1765, w którym sejm odbiera przynajmniej panu prawo karania chłopca śmiercią. Dopiero konstytucja 3 maja bierze chłopca w obronę prawną.

Jakie są granice i więzy samowoli pańskiej?

Moralne naprzód, wypisane w religijnych nakazach i w sumieniu uczciwego człowieka. Względy użyteczności dalej, które doradzają „dawać owsa koniowi, który orze”.

Nie wystarczające, niestety. Zbyt wielu ludzi żyje niemoralnie; zbyt wielu nie rozumie dobrze swego interesu.

Jednakże dla honoru polskiego uczyniono i w tej sprawie niejedno, ponieważ, jak to nam historyk wykazuje, przez cały czas ucisku chłopca podnosiły się głosy protestu i wołania o reformę.

Niektóre z nich mają wzruszający kształt, jak zapis Lopnickiego, albo słynne a tak piękne śluby Jana Kazimierza we lwowskiej katedrze. Najwięksi panowie wśród ziemian, biskupi lwowscy, ulepszały los chłopca. A w królewskich pałacach ten los był nawet dość znośnym. Pamiętać zaś należy, iż obejmował on 80 tysięcy chłopów.

Cały szereg imion polskich chludnie na tej kartce się zapisał, jak: Czartoryscy, Brzostowscy, Chreptowicze, Poniatowscy, Małachowscy. Najchludniej Andrzej Zamojski, kasztelan, który na rozkaz sejmu 1768 r. opracował projekt reform, niestety, nie przyjętych przez zaślepioną szlachtę.

Konstytucja 3 maja i dalej Kościuszkowski uniwersał Połaniecki koronują te wysiłki, znaczne, choć niekompletne i nie-

szczęśliwe, wystarczające jednak dla to, aby powstrzymać rękę, któraby kamieniem rzucić chciała na całą polską przemość.

Aby sąd nad przeszłością uczynić, pod uwagę wziąć trzeba porównanie tego, co działo się u nas, z tem, co gdzie indziej trwało, jako stan normalny. Otóż w wieku szesnastym w całej Europie środkowej pańszczyzna się ustala i jest nieraz jeszcze cięższą, aniżeli w Polsce. Tak dzieje się w Prusach Książęcych, Brandenburgii, Czechach, na Morawach. Uwolnienie z poddaństwa następuje u nas w 1807 roku. Prusy zapewne pod tym wpływem u siebie w tymże czasie znoszą poddaństwo. Bawaria robi to w 1808 r., Meklemburg w 1820 r., Hanower w 1831 r. A potrzeba było dopiero rewolucji 1848 roku, aby i Austria weszła na tę drogę, o co sejmy galicyjskie wielokrotnie się upominały. Wreszcie polska szlachta na Litwie dała inicjatywę uwłaszczenia w Rosji swym memoriałem, który wywołał utworzenie komisji uwłaszczeniowej w 1858 r.

Mała księżeczka Baranowskiego, poświęcona wsi polskiej, powinna się znaleźć w każdej bibliotece polskiego społecznika i polityka.

W. K.



Marcelle Capy.

Przekład L. R.

Głos kobiety wśród walk.

CO MÓWIĄ?

— Żołnierze powracający z krainy śmierci, po dniach niebezpieczeństw, głodu, rozpaczy — nie mają tyle równowagi umysłowej, by choćby pokrótce opowiedzieć swe przeżycia.

— Mówił cicho, łagodnie, leżąc w szpitalu na biało zasłanem łóżku.

— Rozповідаł urywanym głosem:

— Widziałem moc rzeczy okropnych... Bywałem w sytuacjach naprawdę strasznych, by móc o nich mówić... i to przez trzymaście miesięcy!... Iść z pochylonym grzbietem, zacisniętymi zębami, ręką kurczowo trzymającą karabin, iść z obłąkaniem w oczach... Iść naprzeciw śmierci... Ostatnia z moich walk — atak w Szampanji, w którym otrzymałem ranę... Było nas tam: tysiące, tysiące... Głowa zakapturzona maską, nóż u pasa, rewolwer, ręczne granaty, karabin... Ryczały armaty... Sygnał... Przewalała się fala ludzka, która ma pochłonąć równie liczną falę ludzkich ofiar... Dwa dni szedłem naprzód, czołgając się, pędząc, okopując się, rze-

ząc, z pustym żołądkiem i spiekłem gardłem... Wstrząśnienie, po którym zawyłem i żygnąłem krwią... Lazeret... tłumy rannych... przekleństwa... błagania... groźby... modlitwy!... W końcu szpital — ciepłe, miękkie łóżko, troskliwa opieka, odpoczynek, zapomnienie...

PRZECHODZĄC...

Przed urzędem gminnym trochę ludzi. Kilka kobiet parlamentuje ze strażnikami. Roznosiciel gazet wymachuje świeżymi dziennikami. Ludzie wyskakują z tramwajów. Przechadzają się gwarząc po placu. Stońce jest zamglone, chodniki wilgotne.

Przechodzi człowiek z pochyloną głową, bezwładnie zwisającą ramionami. Z pod szarej czapki wymyka mu się kosmyk siwych włosów.

— Uważać!

Nieznajomy pociąga człowieka za rękaw. Najwyższy czas. Nadjeżdża samochód — z pod kół tryska błoto.

— Trzeba uważać, omal was nie przejechał, mówią starcowi.

— Patrzy na mówiących, lecz — zda się, nie rozumie ani słowa. Poczem, bez podzięk, odchodzi przed siebie — jak lunatyk.

— Wraca z magistratu, objaśnia mi sąsiad, gdzie dowiedział się, że padł jego syn. Chłopak dwudziestodwuletni...

Tygodniami nie otrzymują listów. Żądają wyjaśnień, dopytują się, wypełniają formularze z zapytaniem. Spotkać ich można wszędzie, gdzie udzielają choćby skąpych wiadomości. Popychani, potrącani krążą koło biur. Pewnego pięknego dnia oznajmiają im brutalnie, że ich dziecko nie żyje. Rozdziera się serce, mgłą zachodzą oczy. ' Czy padną? Nie. Prostują się, sztywnieją. Ukłoniwszy się, odchodzą z pochyloną głową.

Wyłakali oczy czekając. Teraz, gdy wiedzą, już im łez nie staje.

UCHODŹCY.

Po trzydziestu godzinach drogi pociąg zatrzymuje się w ogromnej hali dworca. Podróżni tłumnie opuszczają wagony i stopy pakunków piętrzą się na peronie, który malowniczo przedstawia widok. Siedząc na kufrach i tłumokach, a nawet na gołej ziemi — rodziny oczekują świtu, by udać się do miasta. Niektórzy śpią mimo porannego chłodu i niewygodnej pozycji. Poczekałnie są przepełnione śpiącymi. Dzieciaki drzemią na kolanach znużonych matek. Przyknięte oczy kobiet znaczą się ciemną plamą w pobladłych twarzach. W kącie, pokładli się na ziemi Hiszpanie, emigranci, nędzą zmuszeni do opuszczenia ojczyzny — a których wojna wygnała z przybranej. Wynędziali — jak za dni wędrówki za pracą. Ich ubogie tłumoki leżą na drodze — a zgłodniała dzieciarnia przygląda się szeroko rozwartemi oczętami — dworcowi, nie mogąc zrozumieć, dlaczego się tu znajduje.

Garść ludzi tłoczy się około studni. Kilka strug wody spływa w marmurowy basen. Kobiety, mężczyźni, dzieci chcą odświeżyć twarze. Niektórzy posługują się serwetą, inni chusteczką, inni znów myją się poprostu dłońmi. Miło jest zanurzyć ręce w basenie i jak rozkosznie pieści świeża woda rozgorączkowaną skórę. Tak płyną godziny. Potem niebo wyjaśnia się, trochę światła przedziera się do hali i w kilka minut później dworzec jest pusty. Uchodźcy poszli prosić o gościnę.

* *

*

Po południu, róg ulicy.

Gromadka — pośrodku kobieta z niemowlęciem na ręku, wynędziała mężczyzna i troje pobladłych dzieciaków. Ze wzruszeniem przysłuchuje się tłum. Kobiety mają lzy w oczach.

Biedna rodzina przyjechała ze Wschodu. Po piętnastu godzinach drogi koleją dostali się tu — bez grosza. Nie ocalili nic. Zniszczenie ogólne. Nie brak dobrych chęci. Niektórzy chcą udzielić gościnę nie-szczęśliwym. Inni podejmują się wyszukać pracę dla mężczyzny.

Takie to wzruszające, proste.

*

* *

Było się dobrej myśli. Obliczano trwanie wojny na miesiąc. Armia niemiecka przedzierała się ku Liège, forty Namur uznano za nie do zdobycia, Francuzi wkraczali do Miluzy — a kawaleria kozacka w pełnym galopie szła na Berlin. Oficjalne komunikaty zapewniały spokojne noce i pełne nadziei ranki.

— Któregoś wieczoru, wchodząc do mieszkania, posłyszałam czyjeś wołania. Była to piekarka — porządna kobieta, która nieraz zażdrościła mi. „Pani, pracując w dziennikach, musi mieć dużo wiadomości!“

— Powiedziała:

— Niemcy są w Lille! Mój szwagier przyjechał stamtąd! Proszę wejść...

— Poszłam za nią. Weszliśmy do pokoju za sklepem. Człowiek o włosach szpakowatych bezwładnie opadł na krzesło.

— W urywanych słowach opowiadał swe przejścia.

— Od bardzo dawna mieszkał w Lille. Bezdzietny wdowiec. Wiodło mu się dobrze. Nadeszła wojna. Mówiono o zwycięstwach. Potem — nagle zjawili się ułani.

— Nie wiedział, co się z nim dzieje. Biegł przez pola, przesadzał rowy, przesakał płoty... Dworzec kolejowy... Pociąg... i Paryż. Stracił wszystko, nie zabrał ani rzeczy wartościowych, ani pamiętki. Lecz co trzyma w dłoniach z taką pieczołowitością?

— Rozchylił palce i spostrzegłam malutkiego, delikatnego szczygiełka.

— Oto wszystko, co ocaliłem.

— Od Lille starannie otulał ptaka dłońmi.

— Uniósł na tułaczkę śpiewkę swego domu.

PROLETARJAT KOBIECY.

Zaniechaj piżma i paczuli. Dziś zanurzają pióra w święconej wodzie. Wojna przeobraziła Don Juanów w Tartufołów, co jest naewet dosyć zabawne. Akademicy, powieściopisarze, modni autorzy dramatyczni, salonowi poeci podnoszą sztandar krucjaty. Ruszają na bój w obronie dobrej opinii Francuzki.

Francuzka, przedewszystkiem zaś Paryżanka, uważana była za granicą, nawet w krajach przyjaznych i sprzyjmiernych, za lalkę, piękną bezsprzecznie, lecz płochą i zepsutą. Czyja wina? Przerzućcie karty romansów i dramatów uwiecznionych autorów, nie znajdziecie tam nic ponad cudzołóstwa, swawolę, negliże. Miłość jest dorywczym etapem w rozpuście. Alkowa, buduar, brudny hotel, garsonjera, kosmopolityczny pałac, w którym nudzi się i flirtuje bezwstydnie — oto są rany. A ludzie — wszyscy mężczyźni są gburami, awanturnikami, odgrywającymi Lovelace'ów, pobłażliwych lub głupich mężów. Kobiety mają umysłowość „dziewek“. Wszystko razem posiada ów fałszowany urok, miły zszarganym duszom.

Co działo się wśród szerokich mas kobiecych, gdy młodzi pisarze i dziennikarze prezentowali międzynarodowej publiczności uchylony rąbek pomiętego negliżu — tak zwanej — Francuzki. Zaćmiewała się religijną rezygnacją i w sercach poczęło kiełkować pragnienie życia. Zaś zwiększenie stopy życia — stworzyło konieczność pracy. Do fabryk podażyły, obok robotników, robotnice, dziewczęta gannały się do szkół, a intelektualny proletarijat kobiecy począł zebrać o lekcje i posady. W ślepych rozpędzie swej działalności — kobieta rzuciła się na wszystkie zawody. Wówczas napotkała trudności, jakie stają na drodze każdego pracującego, dłońmi czy myślą, na kawałek chleba. W magazynach, biurach, wyznaczano jej lichą płacę w stosunku do wydajności pracy. Właściciele i zarządcy nie omieszkałi skorzystać z jej braku doświadczenia, by wyzyskiwać siły jeszcze więcej, niż mężczyzn. Nie chcąc ginąć z głodu — musiała się zgodzić. Początek rywalizacji między pracownikami męskimi a żeńskimi tłumaczy się brakiem zrozumienia siły organizacji u tych ostatnich. Ale kobiety nie potrafiły skupić się obok jedynie rozsądnego żądania: za równą pracę równa zapłata. A także mężczyźni widzieli w nich tylko współzawodników, zamiast kolegów, koniecznością znie-

wolonych do pracy i — wyznajmy i to — że nie zawsze były godne, by połączyć siły przeciw jednemu wrogowi — wyzyskowi.

Roztrwonienie sił szkoda było dla wszystkich. Postęp dokonywa się tak powoli, ciemnota jest tak wielką, a egoizm tak potężny...

*
*
*

Dziś: wojna. Snoby literackie odkrywają z nagłą klasą robotniczą i kobiecą. I oto czerpią obficie ze skarbów kobiety francuskiej bohaterstwo, stoicyzm, wyrzeczenie się, wielkość duszy. Krzyczą rozgłośnie — aż do utraty zmysłów. Ubyła tak wielka ilość mężczyzn, a jednak zboże jest w spichrzach, ziemia uprawiona, fabryki w ruchu, jeżdżą tramwaje, ruch automobilowy nie ustał. Wszystko idzie swym trybem. Prawdziwy „cud“ i kobiecie francuskiej winniśmy za to wdzięczność. Tak twierdzi pan Emil Bergerat*). Niech żyją Francuzki! Mężowie na froncie, a one wszystkie chcą pracować i są aż tak bohaterkie, że oddają swoją krawiecę za najpodlejszą cenę. Czyż to nie wzniosłe?...

— Ile nędzy kryje się pod tem pięknym słowem: bohaterstwo, i jak godni pogardy ci, którzy rzucają kobietom w twarz strzępy z corneilleowskiego aparatu! Jeśli, osuszając łązy, zajęły opustoszałe po mobilizacji miejsca, to zmusił je do tego głód. Jak przyjęto ten bohaterski odruch?...

Wyzyskiem najokropniejszym, spekulacją najbezwstydniejszą, nie bywała dotąd

Wszędzie zmniejszono wynagrodzenia. Przypatrzmy się robotnikom, pracującym dla armji. Zarabiają 15—20 groszy na godzinę. Za koszulę żołnierską Intendentura płaci 55 — a robotnica otrzymuje 20. Pośrednicy bogacą się. Prawdziwie, trzeba bohaterstwa, by cały dzień pracować przy maszynie, zarabiając 20, 25, 30 sous, podczas gdy patryjoci-przedsiębiorcy w spokoju ducha zgarniają sumy ogromne.

Dziś, czy jutro — któregoś dnia w końcu nadejdzie pokój. Nędza kobiet nie zmniejszy się. Drobną pensyjka, wyznaczona wdowom po żołnierzach, będzie kroplą w morzu. A te, mieślubne — których mężowie padną? Nie mają żadnych praw. A te, których mężowie wrócą kalekami, chorzy na płuca, przeżarci reuma-

tyzmem? A inne, które utracą narzeczonych, ojców? Będzie niezmierną liczbą kobiet bez środków do życia. Nie zechcą mrzeć z głodu. Fala, pchająca szerokie masy kobiet do pracy, będzie potężniejsza, niż kiedykolwiek. I wyzysk będzie sroższy.

Siłą wypadków kobiety będą wepchnięte w wir walki ekonomicznej. Przyjdzie im zdobywać każdy kęs chleba. A to będzie ciężkie.

(Cenzura).

TROCHĘ DOBROCI.

Byliśmy świadkami scen rozczulających i rozdzierających serca.

Pod grozą wspólnego ciosu — nieprzyjaciele podawali ręce do zgody, krewni, którzy nie widzieli się przez lata całe, padali sobie w ramiona. Stare urazy zatarły się, umilkły waśnie. W chwili rozłąki, może ostatecznej, miłość wstąpiła w serca.

Stojąc na przełomie, kiedy rzuca się spokojne życie, by wybrać niepewny los — czyż można oprzeć się chęci zbliżenia się do osób kochanych — lub tych, których się ongiś kochało? Są chwile, w których szalone i dumne namiętności ustępują miejsca dobrotliwej, wyrozumiałej tklivości.

Syn, który opuścił dom rodzinny. Czy miał słusność — czy jej nie miał? Wszystko jedno. Nie powróciłby nigdy. Stosunki zostały zerwane. Dziś, przed udaniem się do

koszar, pobiegł do swych starszków — a ci tulili go do serca — jak za dni dzieciństwa. Może nie wróci już — ich chłopak. Wobec niebezpieczeństwa utraty syna na zawsze cała przeszłość poszła w niepamięć.

Mąż, który opuścił żonę i dzieci. Nie może liczyć na nieczyją pobłażliwość. Lecz teraz — ma pójść w pole. Opuszczona zapomina o swych cierpieniach i żalu. Pragnie tylko wraz z dziećmi uściskać go, pożegnać.

I są takie, które ze zbliżającą się godziną wymarszu — dochodzą do zrozumienia swej miłości. Rozpacz ich nie ma granic. Krwawi się biedne kobiecie serce. Nie pamiętają doznanej udręki — lecz tylko pierwsze, najlepsze dni miłości. Zebrzą o łaskę pożegnania.

I czy odmówią żądanej pociechy ci, którzy byli kochankami? Nie. Drobnie utarczki, sprzeczki, nienawiści nawet nikną. W godzinie rozłąki niech żadne usta nie uchylą się od braterskiego pocałunku. Spokój zdobędą duszy.

Ojcowie matki, otwórzcie ramiona marnotrawnym synom.

Mężowie i kobiety wyciągnijcie dłonie ku zbiegłym.

Przyszłość taka ciemna, chwila obecna tak ciężka, uściskajcie się.

Niechaj — z ogromu bólu zrodzi się trochę dobroci.

Dokończenie nastąpi.

Stanisław Falkiewicz.

NOWELA

Ordynans bojowy.

5

Rozkaz zastał Staśka obok brata w plutonie obywatela Swista. Rozdzierał właśnie garść papierosów i kilka nowinek ze sztabu. Gdy padły słowa adjutanta, to samo drżenie i krwawy prąd żywej, co we wszystkich, przez jego pierś przepłynął piorunem. Oczy, pod blask słoneczny zmrużone, postanowieniem rozgorzały. Bratu, zajętemu spinaniem plecaka i równomiernym rozmieszczaniem naboju w kieszeniach, nad uchem krzyknął, choć wrzawy żadnej nie było.

— Z wami idę!

I do dwójki na końcu plutonu dołączył.

Twarze żołnierskie powaga ścieła. Plutony podążały bez słowa, zadumą objęte. Rytm kroków jeno płynął i serc bezgłośnie mianowe uderze-

nia. Podoficer za frontem sępił groźnym wzrokiem ogarniał szeregi, chwilami zaklął, dostrzegłszy jakiś błąd. Lekko i z fantazją szły kolumny strzeleckie.

W nieduży zagajnik na wschodnim skraju prały już szrapnele. Kompanja za kompanją ginęła wśród sosen i niskich świerków i rozwinawszy się w szyk luźny, plutonami w schodach wychodziła z mroku na jasną złocistą przestrzeń. Piachów bursztynowych, połyskliwych wznosiło się przed nimi morze falami i łagodnymi kopami w garbaty grzbiet wydmy na widnokręgu.

Po kolej wychyły kompanje z zagajnika, w linje strzeleckie rozsypały się: Kuby — Bojarskiego i Grudzińskiego — Pększyca pierwszą falą.

*) „Le Figaro“, 11 maja 1915.

Na skrzydłach za nim; Bogusławskie-
go i Dragata w rezerwie bataljono-
wej.

Przejasne, ulewą, słońca połu-
dniowego zalane pole przed nimi.
Przejrzystym, żywicą i mchem pach-
nącym powietrzem wstrząsała wrza-
wa, pobliskiego ognia karabinowego,
spazmatyczny jęk i chichot pryskają-
cych nad piachami i w zagajniku
szrapneli. Kurzawa białych dymków
ulatywała nad polem.

Na jasną przestrzeń wyleciały
linje tyraljerskie. Po osiem, po dwana-
ście naraz pocisków zaczęło smagać
boisko garściami kul. Karabinowe
świegocąc kończyły z sykiem swój
lot, gasły w ziemi, jak węgle rozża-
rzone, w wodę ciśnięte.

Lekko i sprawnie, jak na bło-
niach podkrakowskich, padać jęły plu-
tony, by po chwili do nowego biegu
się zerwać i skoczyć. Srożyły się po-
ciski coraz gęściej i wścieklej. Pło-
myki i dym biały coraz niżej rozpe-
kały nad linjami, gwizd kul, czere-
pów i żelaziwa przeraźliwy szczeń
coraz większą czyniły wrzawę. Linja
przypadała w miejsca, jakby zdawna
przygotowane, gdzie na kilka kroków
przed głowami, albo w tyle kurzawa
chłostanego maszynowym ogniem
piasku znaczyła szlak śmierci.

Nagle między jednym a drugim
skokiem przeszła wieść linją.

— Bataljonowy padł!

Piach od uderzeń kilkuset serc
zadrzał i zajęknął.

Po Żymirskim Michałe porucznik
Grudziński — Pększyc z złotą, krót-
ką chwilę pędu i rozmachu żołnier-
skiego batalion w ręce ujął. Na je-
den długi skok. I on, w nogę ranny,
na piachu pozostał.

Bataljon leciał...

W biegu i skokach mijali rannych
i zabitych, na jasnej płaszczyźnie roz-
walonych. Jeden w przelocie skra-
dziony obraz na zawsze pozostał w
oczach żołnierskich na dnie: młody
kapitan, z brzuchem i piersią wstre-
tnie rozoraną. Twarz piękna skurczem
niełudzkiego bólu i grozy stężała. O-
statni akt woli zaostrzył rysy i dziką,
potworną drapieżnością napiętnował.
Przy trupie dwaj żołnierze klęczeli...

Im bliżej wydmy, tym gęstszy o-
gień i większa celność wroga.

— Byle na stok jej dopaść, na
chwilę bodaj do ziemi przyłgnąć i
powietrza zaczerpnąć!

Pot spływał kroplami po bru-
dnych, piaskiem oblepionych twa-
rzach. Coraz więcej rannych szeregi
rzuciły poza siebie, sinymi plamami,
niby cieniem, złociste pole brudząc.
Po plutonach nazwiska dźwięczały
zabitych i rannych.

Zapadł wreszcie pod grzbietem
wydmy. Może chwilę to krótką trwa-
ło, może godziny całe i wieki. Zaginał
czas na kurhanie.

Nad głowami rozszalał się huragan.
Wycie pocisków zlało się w sza-
tański śmiech i jęki. Zaciekłość arty-
lerji doszła do ostatecznych granic.
Ktoś się tam zaciął, by falą szarej na
szczyt nie puścić, schłostać, ssiec kul
posiewem i rozbitą w tył rzucić.

— Pole śmierci!... — z piersi wy-
pełznął dźwięk na wargi i niejedne o-
czy bielmem bezsiły zawlekł i męki.

Żołnierz przypadł do ziemi. Z
pośpiechem nerwowym jął wygarniać
łopatką szary chłodny piasek z pod
brzucha i piersi. Kopczyki przed gło-
wami rosły.

Stasiek popatrzał poza siebie.
Na odległość ostatniego skoku kilku
leżało z plutonu. Jęki leciały śród
burzy i kotłowania bitewnego. W dół
spełznął, do pierwszego z brzo-
ga przypadł i zająknął w twarz: Zachar-
jasiewicz Ignac, niedaleko Mietek
Hirschler. Kulą szrapnelową oboj-
czyk miał przebity i o brata, sierżan-
ta kompanji czwartej, raz wraz się
dopytywał. Wyżej, już na zboczu,
sześćdziesięcioletniego ojca opatry-
wał młody Niezabitowski. Od jedne-
go do drugiego czołgał się Stasiek
wzdłuż linji, okopywał i kawą z ma-
nierki poił.

Kompanje dwie w stok się zary-
ły na trzy do pięciu kroków pod
grzbietem, by trwać tam pod ogniem
w rezerwie.

Michała szukał — Adama Hir-
schlera — sierżanta, co za kompanją
swoją podążał, lecz od chwili zagi-
nął bez śladu. Po linji powtarzano u-
porczywie, że padł po drodze zabity.
Znalazł go wreszcie. Piersi na wylot
miał przebite i nogi. Ledwie poznać
było, że żyje.

Daleko przy rannych dostrzegł
krzątającego się doktora bataljono-
wego Koźniewskiego. Podbiegł, choć
kule ulewą siekły pole, zasiane ty-
mi, co pozostali. O podprowadzeniu
doktora z noszami ku linji nie było
na razie mowy. Miał pracy dość.

Zawrócił biegiem, chwilami przy-
padając na piasek. — Ot, byle spły-
nęła jedna, druga salwa. Po chwili
zrywał się z łopatką w ręce i pędził
wprzód pochylony. Wszystek znój
i trud gdzieś się zapodział i Stasiek
z błyszczącymi gorączką oczami i
popękanyimi wargami biegł lekko ja-
łowymi ugorami. Śmiechem przywi-
tałby myśl i szyderstwem wydrwił
przypuszczenie, że i on swoją dostać
i paść może.

W plutonie zdał sprawę podofi-
cerowi Kowalskiemu z ilości rannych.
Niewielu zdrowych w linji pozostało.

— Brat twój ranny. Przed chwi-
lą dostał.

— Gdzie leży?

— Na prawym skrzydle...

Lekkość przedziwna, z jaką nie-
dawno okrążał pole, zaginęła. W no-
gach i w całym ciele poczuł ciężar i
beład. Plecak odpiął i złożył przy
znajomym. Poczłogał się zmusznie i
powoli na prawo. Pod każdą prze-
latującą kulą drżał nerwowo, jakby
jej wiew i muśnięcie czując. Do-
włókł się wkońcu.

Z twarzy Stefana spłynęła wszy-
stka krew do ostatniej kropli. Sine
usta zębami w bólu skąsane. Oczy
zapadły. Leżał na wznak powalony.

— Stefan!

Zadrżała żółta ziemista twarz.
Oczy zmęczone i śmiertelną męką
przeżarte wpatrzyły się błędnie.

— Gdzieś dostał?

Ręka bezładnie i opornie w łok-
ciu się zgięła. Dotknął piersi. Stasiek
powoli rozpiął bluzę. Ani śladu nie
dostrzegł na brudnej przepoconej ko-
szuli. Po prawej stronie siniąła rana,
zakrzepła krwią obrzeżona.

— Gdzie nasi, Stasiek?

Wskazał bez słowa linję. Długa
chwila milczenia. Gdy bandaż nakła-
dał, brat z bólu zawył i płaczem wy-
buchnął.

— Boże — Boże! — Ani jednej
kuli nie wystrzelić! Wroga nie zo-
baczyć! — Bo ja umrę...

Stasiek okopał rannego. Znieść
go nie można było. Ledwie spróbo-
wał, Stefan niełudzkiem głosem za-
jęczał i zaklął. Po długiej chwili o-
czy podniósł i wyszeptał.

— Wyjdź na grzbiet. Jak dale-
ko — czy ich widać?

Stasiek podczołgał się na brzu-
chu i piersi aż na szczyt wydmy,
krzakami jałowca i wrzosów obro-
śnięty. Daleko pod horyzont leciała
wklęsła dolina, w falach rozpostarta.
Golizny piachów jaśniały słonecznym
blaskiem śród niskopiennych sosno-
wych zagajników. Na pogodnym nie-
bie rozplływały się stada pierzastych
obłoków szrapnelowych. Gdy tylko
głowę wznosił wyżej, zaświegotał w
poblżu deszczyk kul karabinowych.
Z nad piachu kurzawa wleciała.

Gdy wrócił, brat leżał bez życia,
jak uśpiony. Serce już bić przestało.
Na twarzy stwardniały ślady nieda-
wnych bólów i skargi. Lecz i spoko-
ju ostatecznego tchnienie i odpoczyn-
ku pojawił się znak, co gwałtem na
żołnierza spadł — i trudu bitewnego
nie dał mu nieść dalej.

Dokończenie nastąpi.

W pamiętny rok spalenia na stosie Joanny d'Arc urodził się genialny opryszek, chwala kultury galijskiej, pierwszy poeta z Bożej łaski, autor „Wielkiego Testamentu“. Jego pieśń zaczyna girlandę twórców, wśród których jaśnieją gwiazdy Moliera, Corneille'a, Racine'a, Voltaire'a, Musseta, Hugo, Varlaine'a, Richepin'a i Jammesa. Ze strun „Wielkiego Testamentu“ stworzy się lira francuska. Praca i matchnienie pokoleń wysubtelnia, z bogacą, pogłębia pieśń żartownego wisielca.

Lira francuska pozostanie jednak Villonowi wierna po dzień dzisiejszy.

Brzmij ona w sceptycznym uchu France'a czy też w wierzącym sercu Jammes'a z jednaką siłą. W nim jest bowiem źródło i „Wielki Testament“ poetycki dla kultury francuskiej.

Rozmówiony w dorobku literackim Francji nasz krakowski „Boy“ a świetny tłumacz Tadeusz Żeleński, dając nam wszystkie perły piśmiennictwa galijskiego, musiał siłą rzeczy spotkać się i z Jegomościem Franciszkiem Villonem. Paryski Rey swego „Żywota poczciwego człowieka“ nie pisał podczas uczt rzeczypospolitej Babińskiej. Sądzone mu było wyjść z proletariatu.

Ojca swego nie znał. Chował go jakiś stryjasek, księżyna. Był, podobno, Villon studentem wszechnicy paryskiej, co znów tak go zasadniczo różni od naszego poczciwego pana z Nagłowic. Głowę meblowali mu doktorzy, a sumienie swoje ćwiczył wśród żakierji. Kochał burdy i awantury, a miłości złożył całe życie w ofierze. Nie rozróżniał zupełnie prawnych stron własności. Kradł, jak prawdziwy pradziad Proudhona, wierny zasadzie, że „własność jest kradzieżą“.

Egzegetycy pism jego tworzą różne hipotezy, chcąc wytłumaczyć życie Villona, ślaniające się między oberżą, więzieniem, sądem, szubienicą a uliczną Małgosią. Jest to jednak dla jego dzieła obojętne. „Wielki Testament“ Villona nie zyska przez to ani jednego tonu, któryby mógł podnieść lub obniżyć jego epokową wartość.

Dzieło to przecież zaczyna imienną, indywidualną twórczość poetycką we Francji. I od razu sięga w trzewia psychiki galijskiej. Smutny rzezimieszek, smutny żartowniś, genialny lotr śpiewa z takim głębokim arcyludzkim humorem i melancholją,

że, przedzierając się przez gąszcz ordynarnych epitetów, chamskich porównań, dociera się do duszy o spojrzeniach, jak otchłań, bezdennych. Pan Mikołaj z Nagłowic lubił też mocne słowa. Ale każde porównanie Villona choć jest karczemną a nawet złodziejską mową, jednak pełno wdzięku w niej i uroku. Był on bowiem poetą z Bożej łaski. Kochał karkołomne sztuczki formy. Rzeźbił oktawy, rondo i ballady.

Język francuski był mu najposłuszniejszym narzędziem. Umiał z niego wydostać wszystkie czary, przez które w przyszłości z niewykształconej gwary stanie się mową Boileau i Balzaca.

Tłumacz „Wielkiego Testamentu“, mistrz Boy, pisze we wstępie:

„Villon jest pierwszym poetą Francji przez swą twórczość w zakresie języka. Uczynił on w poezji to, co później Rabelais w prozie: miast dawnej, naiwnej, czasem niedość gwałtownych formalnych lamańców, wyrażających mdłe i konwencjonalne uczucia, mowa Villona płynie wprost z serca“.

„Wielki Testament“ napisał Villon w r. 1461. „Zamknął w nim całego siebie, wszystkie swoje żale i nienawiści, wspominki i marzenia, całą werwę paryskiego ulicznika, melancholję przedwcześnie zmarniałego tułacza i tragizm spojrzenia na świat „z drugiego brzegu“.

Niebawem ślad o nim zaginie: jest to więc jego spowiedź ostatnia.

Zaczyna ją strofą:

*„W trzydziestym życia mego lecie,
Hańba do syta napojony,
Ni żrały mąż, ani puste dziecię,
Mimo iż ciężko doświadczony
Każnią, ścierpianą z ręki krwawej,
Tybota, pana Ossyńskiego...“*

I dziękuje dobroczyńcom, którzy go z opresji, z więzień zwalniali, bo:

*„Potrzeba ludzi pcha do zbrodni.
A głód wywabia wilki z boru“.*

Grzechów swoich nie tai. Mówi o sobie:

*„Tem nie zgrzeszyłem, bym grosz
trwonil
Na smaczne kaski, tłuste dania;
Anim za cudzem ja nie gonil,
By złotem płacił me kochania;
Z ludzimi korzystał nie za wiele,
Tak świadczą (co to wiele bająć!)
Czegom nie winien, mówię śmieje:
Nad grzech nie lża się cztoku kajac“.*

Umie widzieć podłość i kłam. Chłoscze obżarstwo, pychę i ządrosć. Zna już torturę odtraconego kochanka. Wagę złota potrafi znakomicie pokazać. Brak przecież tego kruszcza zmarnował mu życie.

Zakochał się do szaleństwa w pięknej Kasi de Vauselles. Dla niej szukał pieniędzy i rabował. Został odtracony i pociechę znajdował w ordynarnych ramionach „Grubej Małgosi“.

Boy przełożył ten testament z całym swoim mistrzostwem dobrze już zdobytej sławy, przez polonizację Molier'a, Mariveaux, Verlaine'a. Mowa polska pod piórem Boy'a mienią się i jest tak giętką i sprawną, że odzwierciadla łatwo wszystkie uczucia, pojęcia, igraszki i rozmodlenia.

Miłośnicy kultury galijskiej chwycą w ręce Boy'owskiego Villona z wielkim zainteresowaniem. Nie radziłbym go czytać jednak ludziom z uprzedzeniami. Jest on bowiem wkleśłym zwierciadłem.

A jego „Testament“, choć jest „Żywotem poczciwego człowieka“, niech nie będzie brany pod kątem jegomości pana Mikołaja z Nagłowic.

Eustachy Czekalski.



Z literatury.

Elegja na śmierć Tadeusza Kościuszki.

„Nowości muzyczne“ wydały elegję na śmierć T. Kościuszki, kompozycji K. Kurpińskiego do słów poety Kantoberego Tymowskiego.

W kompozycji tej o charakterze podniosłym twórca operowy dał wyraz żalowi ogółu, malując silnymi frazesami muzycznymi szereg ważniejszych wydarzeń z życia bohatera narodowego, T. Kościuszki.

Elegja rozpoczyna się ponurym wstępem, imitującym dzwoniący, zwiastujący o zgonie Kościuszki w Solurze. W dalszym ciągu następują fragmenty muzyczne, ilustrujące podróż Kościuszki do Ameryki, jego powrót do kraju, hołdy ludu krakowskiego, opiewające uznanie zasług bohatera raclawickiego, mieszczące Maciejowice, więzienie w Petersburgu, Burza na Oceanie i modlitwa do słów: „bo surowa przyszłość powie, że Polak skołał ostatni“ kończy ten piękny a zarazem melodyjny utwór, nadający się do produkcji estradowych, jako utrzymany wiernie w stylu owej epoki.

